

COVID, czyli jak to jest, gdy gad dopadnie i...

15.3.21

Czuję się coraz gorzej. Niestety. Dziś urodziny Jędrusia. Jesteśmy dla siebie jak dwa głosy z przeszłości tak odległej i innej, że równie dobrze moglibyśmy być głosami królowej Jadwigi i Władysława Jagiełły. Albo, powiedzmy, ich dworaków.

To zapis z mojego dziennika z poniedziałku, 15 marca 2021 roku. Jędrus to moja wielka krakowska miłość z bardzo odległych czasów, w różnych okresach utrzymywaliśmy kontakty o różnym natężeniu intensywności, ostatnimi laty jedynie sporadyczne, telefoniczne lub esemesowe, chodzimy innymi drogami, mieszkamy daleko od siebie, półtoraroczna pandemia jeszcze nas bardziej od siebie oddaliła. Złożyłam mu życzenia na 69. urodziny i pogratulowałam, że właśnie od tego dnia może się zaszczepić, bo szczepieni mają być 69-latkowie. Ja z moimi 67,5 miałam jeszcze trochę poczekać.

Do głowy by mi nie przyszło, że wirus SARS-CoV-2 już się we mnie zainstalował, a moje "złe samopoczucie" to pierwsze objawy jego aktywności. Od jesieni praktycznie nie wychodziłam z domu, a jeśli, to trzymając się ściśle covidowych obostrzeń, nosiłam nawet swój osobisty sprejek z płynem dezynfekującym i korzystałam z niego na przykład po stukaniu w klawisze bankomatów. Wiedziałam, nie mogę złapać korony, bo zawałiłaby się cała latami budowana konstrukcja wspólnego życia z młodszą siostrą i naszymi zwierzakami. Do połowy marca siedziałam kołkiem w domu, nawet najbliższej przyjaciółki nie wpuszczając, choć miała ochotę wpaść 13 marca (w duchu "bo jak się znamy, to się przecież od siebie nie zarazimy").

Za to wychodziła moja siostra, ktoś musiał, i - choć i ona starała się zachowywać dystans, myć ręce i nosić maseczkę gdzie tylko - to ani chybi ona podłapała gdzieś wirusa. W niedzielę, 14 marca, skarżyła się na niespodziewany ból nerek, w poniedziałek poszła do przychodni. Kazano jej przyjść w środę, w środę dostała termin na czwartek, w czwartek dostała skierowanie na test na covid do pobliskiego szpitala, tam jej powiedzieli, że testów nie robią, skądże znowu (!), ale żeby sprawdziła, gdzie robią w jej okolicy i tam się udała. Sprawdziłyśmy obie i okazało się, że jest taki punkt, ostatecznie test zaklepała na sobotę na godzinę 15, uff.

Poszła i zrobiła. Ja nie, bo choć czułam się coraz gorzej, ciągle nie miałam objawów charakterystycznych dla zakażenia covidem, przesilenie wiosenne czy ki diabeł? Moją siostrę bolały nerki, ja się czułam podłe raczej psychicznie niż fizycznie. Obie myślałyśmy, że skoro dolega nam coś innego, to nie jest to C-19. Wynik miał być za 48 godzin. Był po 24. W niedzielę po południu zadzwoniono, że mamy w domu covid i od tej chwili dom zostaje objęty kwarantanną, całemu domowi nie wolno wychodzić, wychodzenie podlega karze, policja będzie nas sprawdzać. I faktycznie sprawdzała. Codziennie. Tu nie było przeprosić.

Zresztą nie było już wątpliwości, obie byłyśmy rozłożone chorobą i to taką, jakiej żadna z nas w życiu nie przechodziła, żadne tam przeziębienie, żadna grypa, żadne bądź co, covid to jest skurwiel nie do porównania! Już po przechorowaniu siostra nazwała go kombinacją kaca-giganta z wyjątkowo wredną gripą w połączeniu z obezwładniającym nokautem. Choćbyśmy chciały, nie byłybyśmy w stanie wychodzić, chyba że na raczkach. Musiałyśmy stanąć wobec pytania, czy w ogóle wyjdziemy z tego żywe? Obie? Którąś z nas wirus zmiecie? Którą?

Tak czy tak trzeba się przygotować na wypadek EXIT. Trzeba zrobić wszystko, co należy, gdy zejście jest realne. *Worst-case scenario* na serio. Moja siostra (lat wkrótce 64) przez lata paląca jak komin, ma kłopoty z płucami, kilka razy w roku chodzi do pulmonologa (od kilku lat pali e-papierosa). Ja, rozpusztna waga (literacko rzecz ujmując), plus skłonność do podwyższonego ciśnienia przy byle wnerwieniu, a w gwiazdach temperament ognisty, łatwopalny, o wysokiej amplitudzie, o skoki ciśnienia nietrudno. Obie tkwimy głęboko w grupie ryzyka, a każda na swój sposób.

Gospodarstwo mamy z siostrą wspólne odkąd (w roku 2007) zmarła - żeby nie rzec: osierociła nas, chlip, chlip - nasza mama (tato zmarł, ho, ho, kiedy). Jesteśmy pannami, siostra raz panna, zawsze panna, ja, panna z odzysku. Dziś mówi się na takie panny singielki, ale jakie tam singielki, skoro jesteśmy we dwie? Poza tym wolę nazywać rzeczy po imieniu: siostra szczęśliwie nigdy nie wyszła za mąż, poprzestawała na nielicznych romansach, jest więc wedle społecznej nomenklatury starą panną, ja wyszłam szczęśliwie trzy razy i trzy razy szczęśliwie wróciłam, jestem więc potrójną rozwódką nie licząc licznych romansów (ach, te gwiazdne konstelacje!), obie nie mamy dzieci.

Od lat mieszkamy we dwie tworząc mniej czy bardziej burzliwy siostrzany związek Łuczniczki z Lwicą, a z nami dzielą życie nasze zwierzaki. Aktualnie dwie młode kotki, matka Milunia (3 lata) i córka Wisiunia (2 lata). Umówione jesteśmy, że najpierw obie przeżywamy koty, następnie ja przeżywam siostrę (bo ona jest bardziej krucha i mniej samodzielna), po czym ja jako ostatnia gaszę światło. A tu spada na nas zaraza i jeden Wielki Wuj wie, w jakiej kolejności nas powoła. A wiadomo, jego hobby to mieszanie w planach.

Tu zostawmy w tej opowieści moją siostrę, bo ona myśli inaczej niż ja, mniej perspektywicznie, ani razu nie pomyślała, że może umrzeć, co najwyżej ja, a ja? Setki razy pomyślałam, i nie, nie dlatego, że boję się śmierci, nawet w najgorszym covidowym dołku się nie bałam, wręcz przeciwnie, godziłam się... jak mus to mus. Ale z drugiej strony żeby już? Teraz? Zaraz? Jeszcze tydzień, jeszcze dwa tygodnie temu covidowe statystyki mnie nie dotyczyły. Owszem, w kwietniu zeszłego roku zmarła na covid bliska mi kiedyś znajoma, zmarła w stosującej szwedzki model Szwecji. Zaraziła ją krążąca od domu do domu i roznosząca posiłki i wirusy pracownica socjalna.

Ale Erika dożyła dziewięćdziesiątki z hakiem. Owszem, mogłaby jeszcze żyć, wysportowana, z zawodu baletnica, kiedyś primabalerina na wiedeńskich scenach, była nadal w stosunkowo dobrej formie fizycznej i nadzwyczaj dobrej psychicznej, 15 lat wcześniej występowała w szwedzkich mediach ze swoją świeżo poznaną miłością opowiadając o urokach życia erotycznego w beneficjnym wieku... Nawiasem, przeżyła tę swoją miłość, widać mniej odporną na śmierć, o wiele lat.

I nagle dowiaduję się, że nie żyje i że zmarła na covid, zaraziła się, trafiła do szpitala i... szybko trafiła do wyjątkowej statystyki podsumowującej wyjątkowy w światowej skali model szwedzki, szlag! Ale była o dobre pokolenie starsza ode mnie. A ja mam jeszcze tyle rozgrzebanych projektów, jeszcze tyle do zrobienia, do uporządkowania, do przeczytania... Najbardziej żal mi było czytania, tyle jeszcze nieprzeczytanych książek przede mną, tyle radości dla duszy, a tu trzeba się zbierać! Szlag! Szlag!

Ale na razie najważniejsza sprawa sprowadza mnie na ziemię, kasa! Gdyby to mianowicie na mnie wypadło bęc, siostra zostałaby na lodzie, bo nie ma swoich oszczędności, moja kasa jest na koncie szwajcarskim, a

przeprowadzanie procesu spadkowego, zwłaszcza we wzbierającej pandemii - tu przypomnę, że tegoroczne marcowe statystyki nie podnosiły na duchu - to byłaby droga przez mękę. Już tylko jeden list z banku przesłany do mnie do Polski w październiku 2020 zaginął bezpowrotnie. Zadzwoiłam na pocztę, usłyszałam jęknięcie, nie wie pani, że mamy covid? No, tak, covid, smok, który wszystko pożera, nawet listy!

Więc na pierwsze kasa. W tej sprawie zadzwoniłam do zaprzyjaźnionego z nami przez płot sąsiada. A tu sąsiad mówi, że u nich, u niego i żony, też covid i kwarantanna (coś jak w kawale "przychodzi baba do lekarza, a lekarz też baba"), mieszkający osobno synowie mogą nam zrobić zakupy jako im robią. Ale że im się kwarantanna już kończy, to zaraz będzie wypłacał i składał na kupkę, w razie czego, gdybyśmy obie nie miały przeżyć, odda naszej przyjaciółce, i - o ile ona się zdąży nie zarazić i nie umrzeć - zajmie się całą resztą, kotami, likwidacją domu, rozparcelowaniem mojej biblioteki itd. Sąsiad, prywatnie pisarz, może któreś książki by zatrzymał? Z drugiej strony, jako człowiek związany z książkami, ma już swoje, o, losie...

Po siostrze i kotach o książki martwię się najbardziej, książki tak dalece dzisiaj straciły na wartości, że nikt ich nie chce. Gdzie te czasy, gdy polowało się po antykwariatach i różnych straganach typu "pod Hałą Targową", na "białe kruki"? Gdzie? Ano, w mojej młodości, tam, gdzie została moja miłość do tego otóż Szacownego Jubilata, który właśnie skończył 69 lat i w te pędy poleciał się zaszczepić, szczęściarz!

Mam okazałą bibliotekę, kilkanaście tysięcy tomów. Jest wśród nich 14-tomowe wydanie Dzieł Słowackiego z 1959 roku przejęte swojego czasu od mamy. Gdy miałam jakieś 9, 10 lat w kółko czytałam z mamą "Ojca zadzumionych", ciężko przeżywałyśmy obie dramat ojca rodziny: trzech synów, trzy córki, z jeszcze jednym maleńkim dzieckiem żona, "cała rodzina dzisiaj pogrzebiona"... Ojcu po każdej śmierci naliczano od nowa kwarantannę, w sumie "trzy razy księżyc odmienił się złoty" ... "Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści / Odkąd do mego płóciennego dworu / W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru. / O! Niewiadoma ta boleść nikomu". Gadałyśmy z mamą Słowackim, kwarantannę odmieniając przez wszystkie przypadki (nie wykluczam, że genezą tego czytania "Ojca zadzumionych" była epidemia czarnej ospy we Wrocławiu w 1963 roku, bo to było w tym czasie, ale prawdę mówiąc, nie pamiętam).

Ale kwarantanna, zaraza, pomór? To było dawno i nieprawda! Co za archaizmy! Nie dziś, nie u nas, nie w Europie! Jeśli, to daleko, na drugim końcu świata, w Chinach, Hongkongu, Hanoi... Jednak jak blisko jest drugi koniec świata, miałam się na własnej skórze przekonać, gdy pojawił się wirus SARS-Cov(-1).

Pod koniec 2002 roku pojawiła się w Chinach nieznana wcześniej choroba, Chiny trzymały to w tajemnicy, trzymały, aż w końcu bania pękła: 16 kwietnia 2003 roku Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła, że przyczyną tej tajemniczej choroby jest nowy patogen z rodziny koronawirusów nigdy przedtem niespotykany u ludzi. Nadano mu nazwę SARS od *Severe Acute Respiratory Syndrom*, co oznacza Ciężki Ostry Zespół Oddechowy, po polsku byłby to zatem wirus o nazwie COZO.

No więc to COZO byłoby dla mnie jedynie wiadomością z telewizji przypominającą katastroficzne filmy z gatunku *Science Fiction* o zarazach czyhających na gatunek ludzki, gdyby nie taki splot okoliczności w moim życiu, że nawet gdy to już długo po fakcie opowiadam, nadal się dziwię, że mi się przydarzył.

Otóż we wrześniu 2003 znalazłam się właściwie z głupia frant w Singapurze, a Singapur był wtedy jednym z ognisk choroby SARS! Obrazki w telewizjach dookoła świata z jakiegoś szpitala singapurskiego budziły grozę, wyjące karetki pogotowia, nierealne postaci w kombinezonach z rozpylaczami środków dezynfekujących błędzące w chmurach z tych środków, ciężko chorzy zakażeni... No, horror, ale przecież nie wybieram się w Singapurze do szpitala, nawet nie w okolice szpitala, do Singapuru nie wybieram się w ogóle!...

A jednak: W Singapurze znalazłam się dwa razy w życiu, *just wtedy*, gdy był tam SARS, raz na lotnisku, gdy przesiadałam się z samolotu z Zurichu na samolot na Bali, drugi raz po kilku tygodniach rejsu od Bali wzdłuż Indonezji z finałem w porcie jachtowym w Singapurze, skąd zrobiłam sobie kilka wypadów na miasto, nim odleciałam z powrotem do Zurichu. Nikt nie nakładał na mnie obowiązku kwarantanny po powrocie. A może powinien? Z singapurską służbą zdrowia zetknęłam się bowiem oko w oko.

A było to tak: Mój drugi szwajcarski mąż jest żeglarzem, od wielu lat opływa świat sprzedając rejsy chętnym, czym zarabia sobie na życie i utrzymanie jachtu. Przeżyliśmy 17 pełnych przygód lądowych i morskich lat po czym zgodnie stwierdziliśmy, że na resztę życia nie pogodzimy ze sobą naszych życiowych celów, on żeglowania, ja pisania inspirowanego buzującą wokół mnie kulturą i wzbierającą biblioteką, a nie tylko bezmiarem rozhuśtanych wód na lupince mieszczącej najwyżej półkę z książkami.

Nasze życie uczuciowe też zatoczyło swoje 360 stopni i domknęło się pozostawiając nas w poczuciu, że oto dopełniła się nasza miłość, jedyna taka na życie. Rozstaliśmy się oboje zgodni co do sensowności rozstania, co ułatwił bardzo fakt, że nie mieliśmy wspólnych (jak i żadnych) dzieci, za to osobne konta, po czym zaczęliśmy swoje już niezależne od siebie życia "towarzyskie i uczuciowe". Niemniej umówiliśmy się, że gdyby w żeglarskiej rozpisce znalazło się okienko bez "żeglarzy-turystów", to ja chętnie w nie wskoczę, o ile akurat mi się zgra. Zgrało się 5 lat później, jesienią 2003 roku. Obowiązkowo pozaszczepiałam się na różne tropikalne choróbska i fruuu... Na Bali...

Żeglowanie po indonezyjskich wodach nie jest takie całkiem bezpieczne, można się nadziać na piratów, dlatego tacy indywidualni żeglarze jak my skrzykują się i żeglują "flotyllą". Od Bali płynęliśmy w trzy jachty, na każdej po parze, dwie regularne pary i my, para "po regulacjach". Całą szóstką spotykaliśmy się w portach. Owszem, gadaliśmy o piratach, ale abstrakcyjnie, bo piraci polują na statki *cargo*, a nie na takie płotki, jak my. Ale i tak mogą być groźni, bo jak dopadną, to nie omieszkają obłupić i wykopać z łódki. I nagle gdzieś na północ od Borneo słyszymy komunikaty radiowe ostrzegające przed piratami!

Jedna z naszych żeglarek tak strasznie się tym zdenerwowała, że złapał ją *Hexenschuss* i zaczęła strasznie cierpieć, zwłaszcza że jak na złość morze się wzmogło. Jeszcze z drogi zostały o jej stanie powiadomione służby medyczne w Singapurze i gdy wreszcie dopłynęliśmy gęsiego do portu, czekała na nas policja, karetka pogotowia z kompletem zespołu ratunkowego w pełnym rynsztunku epidemiologicznym, wózkiem inwalidzkim, noszami, niemylami, że ciarki, instrumentami... po czym wszystkich nas przetrzepano uprowadzając cierpiącą ze sobą, a pozostałą piątkę zostawiając w szoku, że oto w Singapurze na wejściu zetknęliśmy się najbardziej z tym, z czym chcieliśmy się zetknąć najmniej.

Dlatego, gdy będąc z początkiem roku 2020 w Zurichu, usłyszałam o nowej chorobie wywołanej kolejnym koronawirusem w Chinach, a wkrótce potem o tym, że COZO *numero due* przeniosło się do północnych Włoch, czyli o krok od Szwajcarii, natychmiast obudziło się we mnie tamto poczucie grozy w Singapurze. Gdzieś pod koniec lutego znalazłszy się na dworcu autobusowym w Zurichu widziałam jak podjeżdżają i odjeżdżają autobusy, a jeden co chwila zapowiadany "do Bolonii" stoi i czeka i nikt się do niego nie kwapi. Świecił nad nim ten napis "BOLOGNA" na czerwono i świecił, zapowiadano go i zapowiadano, a ja myślałam, żeby tam tylko nikt nie wsiadał! I nie wsiadał! A niewsiadanie to jeszcze bardziej trwożyło.

Dnia 11 marca 2020 WHO uznała Covid-19 za pandemię a 13 marca ogłosiła, że centrum pandemii przeniosło się do Europy. No, to alleluja! Od 15 marca zatrzasnęły się granice i tak zamiast do początku kwietnia, jak planowałam, pobyłam sobie w Zurichu do połowy czerwca. Co się w tym czasie działo, wszyscy wiemy. W mediach pandemia była miesiącami najważniejszą, najpierwszą, najpilniejszą informacją. Statystyki, spekulacje i "model szwedzki"... Obostrzenia, maseczki i demonstracje niewierzących w covid, za to tym bardziej wierzących w spiski: różni foliarze, koronasceptycy, pandemiadenialści, covidoci itd. itp. A wszystko to w erze informatycznej, gdy wiadomości obiegają świat z szybkością światła i każdy może je siać w sieci ile mu sił i inwencji starczy.

O ile na facebooku do pandemii każdy pisał sobie o tym, co go tam interesowało i fejsbukowicze łączyli się w grupy i podgrupki funkcjonując w swoich bajkach i bańkach, o tyle od początków pandemii i w sieci temat ten, co naturalne, stał się dominujący, a rozłam na tych, którzy wiedzą i rozumieją, co politycy i naukowcy do nich mówią, żeby się wzajem chronić i jakoś tę pandemię kontrolować, oraz na tych, którzy nie wierzą w pandemię i nie rozumieją w czym problem, stał się nie do uniknięcia, mur dzielący oba przeciwne obozy wznosił się wyżej i wyżej.

Siła wypierania niewygodnej prawdy, strach przed nieznanym zagrożeniem, nieumiejętność przystosowania się do zupełnie nowej rzeczywistości, w której faktycznie nawet najmądrzejsi nie wiedzieli, bo nie mogli wiedzieć, co robić, żeby zmniejszyć zagrożenie i unieszkodliwić wirusa, przypominała średniowieczne zachowania ludzi wobec dżumy, czarnej ospy, cholery, syfiliśa... Obłąd. A wszystko to w oczekiwaniu na szczepionkę, która miała się pojawić najwcześniej pod koniec roku i nad którą wszystkie firmy farmaceutyczne dookoła świata pracowały pełną parą, ku wzmożeniu czujności antyszczepionkowców.

A gdy tylko pojawiły się szczepionki, obok antyszczepionkowców pojawiły się różne afery okołoszczepionkowe w rodzaju "kto pierwszy i dlaczego on/ona?", "Bill Gates wszczepia nam wraz ze szczepionkami czipy i za pomocą G5 będzie eliminował ludzkość", czy "chorzy w szpitalach to udający chorych aktorzy!". Roznosiło się to po sieci jak ogień, jak inny rodzaj zarazy, informatycznej, i infekowało ludziom mózgi zamieniając je w beton nie do rozbicia.

Jednym słowem w sieci przez cały ten pandemiczny rok wrzało jak nigdy. Newsy wymieniały się z fakenewsami, ludzie zbijali się w zwalczające się strony, człowiek oczom nie wierzył, że ten/ta mogą głosić tak wierutne bzdury, przecież do pandemii to byli normalni ludzie!?... Sama zbanowałam bądź ilu nieprzemakalnych fb-znajomych. Inna sprawa, że działało to w obie strony. I mnie banowano, gdy nie dawałam się przekonać do tej, czy tamtej teorii spiskowej i uparcie "nie otwierałam się na prawdę".

Równocześnie jako rodzaj antidotum wszelkiego rodzaju talenty, twórcy, artyści, ludzie piszący, malujący, filmujący, w ramach reakcji na życie w pandemii zaczęli pisać, malować, filmować, tworzyć... Nad światem

zaczęło się unosić coraz więcej - niestety - duchów zmarłych na covid, ale wśród ciągle żywych zbiorowy duch wyzwałał niebywale siły twórcze. Ktoś kiedyś podsumuje ten okres w historii kultury, powstaną prace na temat sztuki w czas zarazy, będą wystawy, filmy, książki... Już się zbierają. Tu wpisuje się Joliny "Kwarantannariusz", zapis z pierwszej fali korony, zapis żywy, iskrzący, erudycyjny, odnotowujący wspomnienia i przemyślenia, wydarzenia dawne i bieżące, fakty i facecje... Historia i historyjki. Powaga i humor.

Jest połowa czerwca 2021 i żyjemy teraz po trzeciej fali pandemii, ale nie ma się co ludzić, skończy się lato, będzie czwarta, w skali globalnej choroba się nie skończyła, pojawiają się kolejne mutacje wirusa, w gęsto zaludnionych krajach Azji, Afryki, Ameryki Południowej wirus szaleje, a samoloty latają nieprzerwanie wte i wewte rozwlekając wirusa po świecie. Wirusowi w to graj. W marcu 2020 chodziłam po pustym Zurichu, świat wydawał się być kompletnie odrealniony. Czułam się jakbym weszła między kartki książki Jerzego Pilcha "Żywego ducha". Dlaczego ludzie poznikali? Co to ma znaczyć? Czy utknęłam w jakimś stanie *bardo* zawieszona między żywymi i zmarłymi? Pytałam, jak pytał Pilch w swojej przedostatniej, przerażająco profetycznej powieści (w moim dzienniku mam taki zapis: "już w łóżku, 29.5.20, umarł Jerzy Pilch. Szok!" - jak wiemy, przyczyną śmierci nie był covid, ale na jego pogrzebie kilka osób zaraziło się covidem).

Nikt po Zurichu nie chodził, choć wolno było, ja za to chodziłam tym bardziej i czułam się jak duch, unosząca się ponad wszystkim uwolniona z ciała świadomość, pamięć wyzwolona. Wędrowałam po własnych wspomnieniach: miłości, rozstania, ludzie, przyjaciele i nieprzyjaciele, psy, koty, to co mnie tutaj szlifowało i co mnie zużywało. Zapuszczałam się w zuryskie uliczki starego miasta i bez najmniejszego trudu odwiedzałam ludzi już dawno nieżyjących, którzy tymi uliczkami chadzali, prowadziłam z nimi rozmowy, spory. Ktoś mówi, że Szwajcaria jest nudna? Dla mnie nigdy nie była nudna, wystarczy zajrzeć za fasady, ludzie jak ludzie, z ludzkimi sprawami, nudnymi i nienudnymi, jak wszędzie!

Teraz spotykałam Lenina i Joyce'a, Osiecką i Hłaskę, Huldrycha Zwinglego i mojego pierwszego szwajcarskiego nieżyjącego od końca 2016 roku męża... Gdy niespełna 21-letnia Agnieszka Osiecka przechadzała się mostem im. Rudolfa Brüna jesienią 1957 roku, zachwycająca jak grecka bogini, naprzeciw niej mógł iść mój przyszły, 20-letni wtedy, mąż, typ *latino*, pilny student romanistyki, i zwrócić uwagę na nieznaną piękność, podczas gdy młoda mama mojego drugiego szwajcarskiego męża mogła tym samym mostem w tym samym czasie popychać wózek z przyszłym zdobywcą mórz i oceanów, wtedy półrocznym blond bobaskiem... 28 marca 2020 roku składałam jej telefonicznie życzenia na 90. urodziny, w tym roku obeszła swoje 91. urodziny, nadal ma się dobrze.

*

Jesienią 2020 to samo robiłam w Krakowie, druga fala spadła na świat z końcem lata i miasta się znowu wyludniły, a ja spacerowałam po pustym Krakowie i spotykałam swoich rodziców, żywych jak zawsze, młodą, zgrabną jak sama BB starszą siostrę (†2012), często zapuszczałam się jeszcze głębiej w Czas i spotykałam Wyspiańskiego, jego żonę Teosię, ich malutkie dzieci, a nawet trochę wcześniej jego matkę zmarłą, gdy miał 7 lat. A gdy tylko zechciałam, odwiedzałam żywych królów i królowe. Byłam duchem i bardzo mi się to podobało. Tak mi minęła druga fala.

I przyszła nieuchronnie trzecia, poprzedzona wymuszonym świętami poluzowaniem obostrzeń. I nadszedł 15

marca 2021, i Covid-19 sprowadził mnie na ziemię, uzmysłowił, że jest nie tylko duch, ale i ciało. Najpierw poczułam się jakbym zjeżdżała do jakiegoś dołu i tam czekała już na mnie bura chandra. Po tygodniu leżałam bez sił jak worek kartofli, a każdy ziemniak bolał mnie na swój sposób. Bo na tym to polegało, boli naraz wszystko, a każde inaczej, kakofonia bólów.

Głowa boli cały czas, a po przebyciu najgorszego ciągle jeszcze w nocy i nad ranem do pierwszych aspiryn i zimnych okładów (potem można się zwlec, nawet jeśli z trudem), ma się wrażenie, że jest za mała na to, co się tam w niej wyprawia, co wirus z nią robi, że każdy z osobna się panoszy i rozpycha na dobitek ciągnąc od środka za cebulki włosowe. Faktycznie, pracował i pousuwał mi z pamięci niejedną zakodowaną tam informację (teraz muszę się naszukać w covidowej mgłę i choć znajduję, to nie żeby na pstryk). Przez pierwsze dni gardło boli tak, że ból wświdrowuje się do szu i tam szarpie zahaczając o zęby.

Na szczęście to mija dość szybko, ale pozostaje drażniąca suchość w gardle, na początku nieznośna, teraz, po trzech miesiącach, do wytrzymania, ale ciągle niemiła i powodująca suchy kaszel, zwłaszcza przy mówieniu, gdy gardło dodatkowo się wysusza. Nos też jest suchy. I oczy. Suche oczy to coś wyjątkowo niekomfortowego, trudno je po pospaniu bez bólu otworzyć, a ból jest parzący. Teraz nieco odpuścił, ale nadal nie do końca. Na nocnym stoliku mam wilgotne waciki, żeby sobie przemywać oczy, nim je otworzę. Krople nawilżające wywołują znowuż pieczenie.

Mięśnie bolą jak przy ostrej grypie. Gorączka też jak przy grypie. Poza tym nudności przy braku apetytu. Ale nade wszystko ta dziwna słabość, brak energii, szybkie męczenie się (to w dalszym ciągu, nawet jeśli idzie w kierunku poprawy). Nic się nie chce, żeby wstać choćby do toalety, trzeba się naprawdę namocować ze sobą. Nie da się nic robić, nawet czytać czy oglądać telewizji. To jest inne niż przy grypie. To moja druga poważniejsza niż "zwykła" grypa choroba w życiu, kilka lat temu przerobiłam wirusa półpaśca (czy raczej to on mnie przerobił). I teraz to cholerstwo.

Półpasiec daje w kość jak poparzenie drugiego stopnia, piecze i pali, mówi się, że jest to jeden z najpaskudniejszych rodzajów bólu. Potwierdzam, jest paskudny. Ale przy środkach przeciwbólowych i okładach daje się czytać, oglądać telewizję, filmy, zaglądać na fejsa a nawet pisać, przy covidzie w tych najgorszym etapie, z jakim przyszło mi się zaznajomić, nie da się nic. Covid wykańcza. Niektórych do końca. Nam się jednak udało wyjść z tego.

Jak to się stało, że siostra przy rozedmie płuc nie miała jednak tych słynnych covidowych trudności z oddychaniem, nie wiemy. Jak to się stało, że mnie covid zachował przy życiu, nie wiemy. Piłyśmy dużo herbaty z cytryną i miodem, na bóle ja brałam aspirynę, siostra paracetamol. Mierzyłyśmy sobie tlen we krwi i tętno pulsoksymetrem. To było wszystko. A, i jeszcze karmiłyśmy koty i czyściłyśmy kuwety, co znaczy, że wchodziłyśmy po schodach w dół i w górę, bo mieszkamy w niewielkim wprawdzie domku, ale na trzech kondygnacjach. Czasami wynosiłyśmy do karmnika w ogródku ziarno dla ptaków, co było wymagającą wysiłku ekspedycją. Tyle było naszego ruszania się. Jakies trzy tygodnie. Potem zaczęło się polepszać, można już było wrócić do czytania i oglądania telewizji i cieszyć się, że covid nas oszczędził, a nawet potraktował jednak stosunkowo łagodnie, jeśli pomyśleć, że obyło się bez szpitala i respiratorów.

Oczywiście na wypadek, gdyby uderzył z całą mocą, zrobiłam sobie rachunek sumienia, którego oczywiście nie opublikuję, niech sobie leżakuje w przysłowiowej dziupli, może ktoś go za 300 lat odkryje i przeczyta? A może nie? Bo chyba nigdy nie mówiło się tyle o końcu świata i tym razem nie są to jakieś wróżby z fusów, widzenia nawiedzanej świętej, czy magiczne obliczenia, a perspektywa całkiem realna, zmiany klimatyczne, wyże demograficzne, zalewanie odpadami, góry plastiku, zapowiedź kolejnych pandemii... No, nie wiem...

Siostra po miesiącu wyszła z domu. Ja po dwóch. Obie byłyśmy pierwszymi wyjściami bardzo zmęczone, ale poszło. Powoli wracamy do siebie.

*

Narama, 16 czerwca 2021

*

I ja na fejsie z przyjemnością brałam udział w przrzucaniu się wierszami z innymi poetami, na początek poeta Maciej Cisło rzucił pomysł, żeby dopisać się do fraszki Kochanowskiego, dopisałam się:

Koronawirus

"Ślachetne zdrowie,

Nikt się nie dowie,

Jako smakujesz,

Aż się zepsujesz."

(Jan Kochanowski, fraszka "Na zdrowie")

Koronawirus?

Koronaświrus?

Tak człek rozumie,

Jako człek umie.

To politycy,

Krzyczą sceptycy,
Straszą nas wrednie
Szerząc te brednie!
Że koniec bliski,
Głoszą i zyski
Na konta płyną,
Przecież stąd słyną!
Możnych zabawa
I jasna sprawa!
Media wtórują,
Jak zwykle szczują!

To jest choroba,
Groźna, bo nowa,
To epidemia
Świat tak odmienia.
Nie bądźcie durnie,
Nie idźcie tłumnie,
Tam gdzie zaraza,
Mądrych obraza.
Myślcie rozumnie,
Chrońcie się wspólnie,
Od innych z dala,
Bo to ocala,
Koronawirus,
To żaden świrus,
Kto dba o zdrowie,
Ten się uchwie.

*

Zurich, 14 marca 2020

*

Skomentowałam też tekst Joli "Buty na miarę" z 10 maja 2020 wierszem:

Buty prosto od szewca

Dziś szewc to zawód rzadki,
jak stolarz albo kowal,
coś jak bohater z bajki,
lub jak na łące krowa.

Tak, tak, są i bogacze,
noszą buty na miarę,
lecz gdzie takich zobaczyć?
Bo na ulicach wcale.

Mają buty na pokaz
i własne samoloty,
na widok VIP-ów cmokasz
przerzucając ich foty.

Lecz, ot, buty od szewca,
z zakładu tuż za rogiem,
od tego co dopieszcza
klienta mówiąc "z Bogiem",

to dziś ekstrawagancja,
nie ma dziś takich szewców,
żadnych napraw gwarancja,
mierzysz, wybierasz, bez słów.

Wchodzisz na Amazona,
przebierasz, klikasz, płacisz,
masz wybór i do miliona,
a jednak sporo tracisz.

Kto wycinał, kto sklejał,
tego się, ech, nie dowiesz,
świat głupieje, szaleje,
nie ma wyboru, powiesz.

Tymczasem tuż za progiem
żyje ostatni z szewców
i przy tym miły człowiek
wśród nadętych prześmiewców.

I robi buty z marzeń
tylko na twoje nogi,
i nie brak ci w nich wrażeń,
a szewc dobry, niedrogi.

Trzewiki zgrabne, prężne,
solidne w nich podbucie,
i wygodne, i miękkie,
jak domowe papucie.

Ten szewc zaraz za progiem,
zdolny gość z dratwą, igłą,
między prawdą a Bogiem
też mi w marzeniach mignął.

Zrobiłby mi obuwie
w kolorach prosto z tęczy,
taki but chcę zamówić,
szewca net nie wyręczy.

*

Zurich, 11 maja 2020